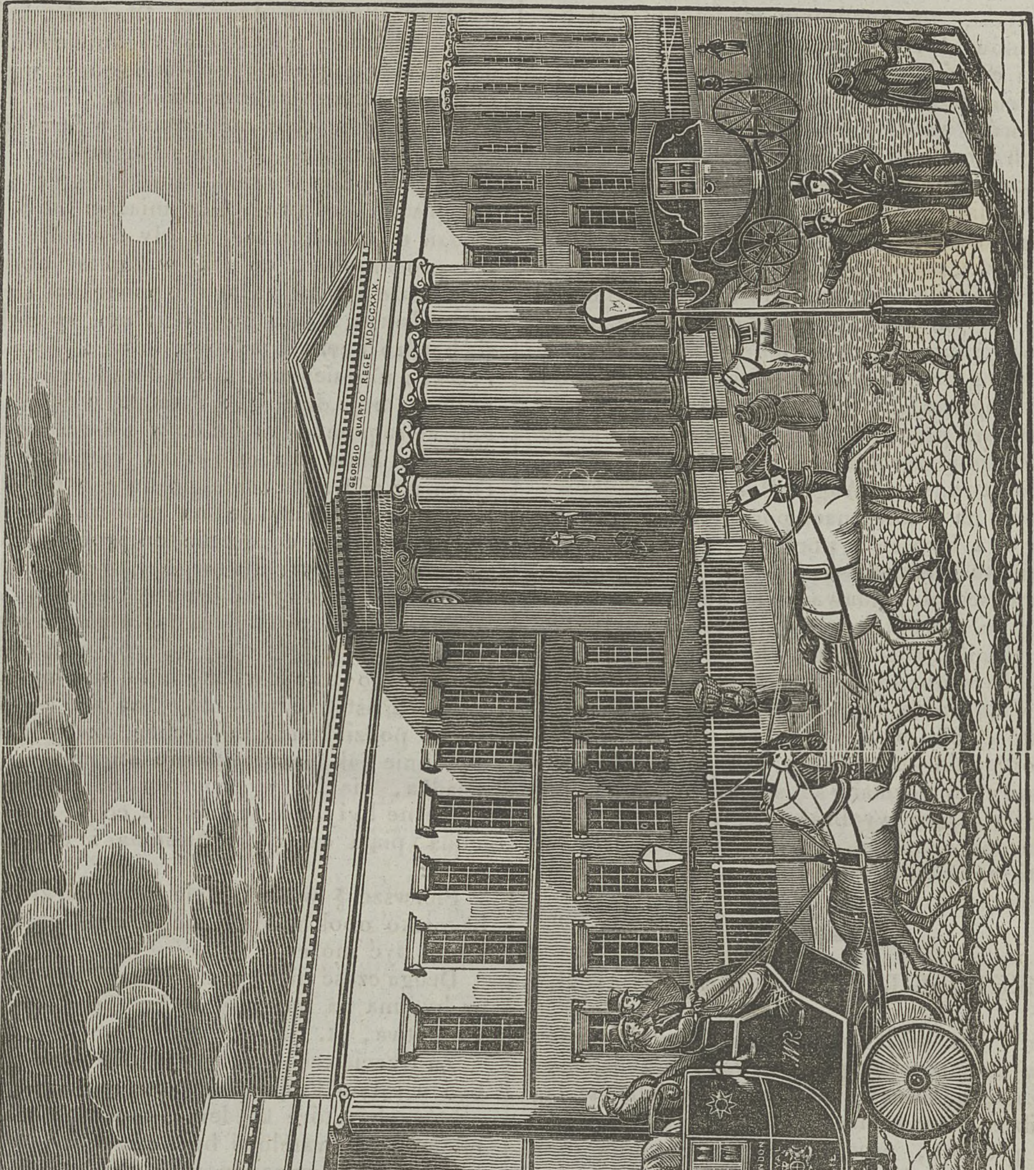


DOM POCZTOWY W LONDYNIE.

Dopiéro od r. 1631 jest wzmianka w dziejach angielskich o ustanowieniu poczty, która w zupełności zaprowadzoną została za panowania Karola Igo. — W r. 1665 dochód poczty wynosił 21,500 funtów ster. około 860,000 złp. a w dziesięć lat póżniéj doszedł do 82,319 funt. ster. czyli 3,292,760 złp. Teraźniejszy zaś dochód wynosi 2,400,000 funt. ster. czysty

zaś zysk, po opędzeniu wydatków jest 60 milionów złp. W przecięciu przybywa do Londynu codziennie 28,466; na tydzień, 170,802, a na rok 8,881,704 listów i pakunków.

Oprócz wielkiéj poczty, są w różnych częściach Londynu tak zwane małe poczty, za pomocą których codziennie przeszło 30,000 biletów i listów roznoszonych bywa w mieście.

Na umieszczenie rozmaitych gałęzi służby pocztowéj, potrzeba było obszernego gmachu, który według planów budowniczego Smirke rozpoczętym został w r. 1825 a ukończonym w roku 1829. Budynek ten wyniesionym jest w stylu grecko jońskim. Długi 400, szeroki 80 stóp angielskich, fundamenta i eskoł z granitu, sam gmach wymurowany z cegieł które są obłożone z frontu kamieniem z gatunku granitów, zwanym w Anglii Portland. Środkowy fronton na 6 kolumnach porządku grecko-jońskiego z kamienia portland, na podstawach z granitu. Przejazd w środku budowli gdzie są miejsca do oddawania i odbiérania listów, długi 80, szeroki 60, wysoki 53 stóp angielskich.

Wielki ruch i nadzwyczajny porządek w odbywaniu czynności w tym gmachu, zadziwiają cudzoziemca; a godzina 8 wieczorem, o któréj około 300 dyliżansów i karyklów, za ostatniém uderzeniem młota w dzwon zegarowy, w rozmaite się strony rozjeżdża, jest chwilą dającą wyobrażenie, do jakiego stopnia doskonałości, Anglicy doprowadzili łatwość znoszenia się listownego, i podróżowania wewnątrz kraju.

NIEKTÓRE RACHUNKOWE WYPADKI.

W jak wielkim stosunku kapitał rośnie, gdy do niego ciągle procenta przydajemy, przekonają następujące przykłady. Jeden szeląg w dzień narodzenia się Chrystusa oddany jest na procent; procenta mają być połączone z kapitałem, i jako nowy kapitał wypożyczane. Pytanie jakaby summa z szeląga urosła do obecnego czasu? Mogłoby się może zdawać, że kilkadziesiąt tysięcy złotych? Atoli ta summka tak się ma do ogromnéj summy z tego szeląga uzbieranéj, jak ziarnko piasku do ziemi. Procenta od procentów szeląga, nie mogłyby być zapłacone dyamentami z bogatych kopalni Indyi wschodnich i Brazylii, ich przychód nie mógłby nawet wynieść bilionnéj cząstki wartości téj summy. W okrągłéj liczbie wynosiłaby ilość szelągów 400,000,000 quintillionów, liczba która wypisana, mieściłaby 38 cyfer. Ażeby zmysłowo wartość téj summy wystawić, obliczymy ją na bryłę złota. Ale przed taką bryłą znikłaby znowu jak nic, cała objętość naszéj ziemi, bo, ażeby procenta procentów, szeląga na pieniądze wymienić, potrzebaby 70 milionów złotych kul ziemskich. Przyjąwszy że słońce większe jest 1 $\frac{1}{2}$ miliona razy od ziemi, wtedy powyższa ilość kul ziemskich równałaby 48 złotym słońcom. Dla tych, którzy nie są obeznani z wyższemi rachunkami, dodać tu można, że podobne obrachowanie w przeciągu kwadransa dokonać można.

Pewny nauczyciel rachunków w Strasburgu zostawił testament treści następującéj.

« Czci godny dziadek mój Prosper uczył mię pisać i rachować. Gdy miałem lat 8, dowodził mi jedną razą, że gdy dochody pięcio procentowe, co rok w kapitał obróce, tedy tenże kapitał za lat 100 powiększy się 131 razy. Uwaga, z jaką go słuchałem, spodobała się bardzo memu dziadkowi, dobył 24 franków, i rzekł z uniesieniem, które dotąd mam przed oczyma; moje dziecię!: Pamiętaj w całém życiu, że za pomocą rachunków i oszczędności, nic nie masz dla człowieka niepodobnego. Oto masz 24 franki, zanieś do mojego przyjaciela kupca ** który je na procent przyjmie. Przydaj do nich corocznie ten procent, a gdy umierać będziesz, dla mego i twego zbawienia, uczyń jakowy miłosierny zapis. »

Temu rozkazowi byłem posłuszny. Z owych 24 franków uzbierało się od tego czasu przez lat 62, 500 franków, którą to summę mocą niniejszéj ostatniéj woli mojéj, na pięć równych części podzielam i mieć chcę, ażeby takowe podobnie jak pierwiastkowa summa mojego dziadka, ciągle w procenta od procentów obracane były, tak jednak, że co lat 100 tylko jedna piąta część podniesioną i użytą być może.

Pierwsze $\frac{1}{5}$ w sto lat tyle wyniesie, że za nię bagnisko obok miejsca mego urodzenia osuszone być może.

Druga część piąta za sto lat późniéj, obróconą być ma na nagrody zachęcające do nauk, rolnictwa, i t. d.

Za trzecią część piątą w sto lat późniéj, ma być w całym kraju otwartych 100 kass pożyczkowych, które każdemu uczciwemu i rzetelnemu obywatelowi bez procentu pożyczać będą. Nadto, w najlepszych miastach ma być założonych 12 gabinetów sztuk pięknych, i 12 bibliotek publicznych, każda z nich ma miéć 100,000 franków rocznego dochodu na utrzymanie 40 uczonych mających zasługi.

Za czwartą część piątą w sto lat późniéj, ma być sto miast nowych założonych, z których każde miéć będzie 150,000 ludności. Możnaby zarzucić, iż w całéj Europie nie będzie tyle gotowych pieniędzy, ale exekutorom mojego testamentu zostawiam, według woli, kapitały w dobra nieruchome zamieniać.

Nakoniec z ostatniéj piątéj części po upłynieniu lat 590, mają być najprzód nasze krajowe, a jeżeli wystarczy, angielskie długi spłacone, a to przez wdzięczność za piękne dzieła Newtona.

Sześciu wykonawców niniéjszego testamentu, mają być wybrani z ludzi najzacniéjszych, a każdy z nich umierając: mianować będzie swojego następcę. Za ich trudy przy-

podniesieniu czwartéj części piątéj, mogą mały ułamek 32 milionów między siebie podzielić.»

Sędzia jeden w Głogowie zmarły w r. 1791 majątek swój, 256,253 talarów wynoszący, przeznaczył na beneficia i stypendia. Ale ponieważ według testamentu, pewna tylko część procentów obracaną być mogła, inna zaś kapitał zwiększać miała, dla tego już w 10 latach tenże kapitał powiększył się o 102,580 talarów.

Za przyłączaniem cztéry procentu, wyniósłby ten majątek za 200 lat 1,083,168,426 talarów, aż nakoniec pieniądze całéj ziemi musiałyby wpłynąć w ten zakład.

Dla tego rząd pruski postanowił, ażeby kapitał wspomniony nie przechodził summy 300,000 talarów, a roczna przewyżka procentów, na cele dobroczynne obracaną była.

Ażeby jeden bilion zrachować, potrzeba na to lat 190,000 rachując dniem i nocą bez przestanku.

Przekładając 32 figur na szachownicy, wypada ztąd 1124 quatuordecillionów, odmiennych pozycyj, liczba, która się pisze 88mju cyframi.

ROLNICTWO W KRAJACH POŁUDNIOWYCH I PUŁNOCNYCH.

Bonstetten, porównywając ludy pułnocne z południowemi, tak mówi o rolnictwie:

Co za różnica rolnictwa w krajach, gdzie prace około gruntu są nieprzerwane, a tam, gdzie ich na 7 i 8 miesięcy zaniechać potrzeba.

Na Południu mnogość rozmaitéj uprawy nie ma granic, jak w siłach, kapitałach i czasie, które im gospodarz poświęcić może. Na Pułnocy pola i łąki, a gdzie niegdzie same tylko łąki zajmują mieszkańców.

Przed wojną z Anglią, warzywa przychodziły do Norwergii, do Breghen i Dorntheimu aż z Holandyi, i nie rzadka rzecz była widzieć w Christianii siano irlandzkie. Dopiéro od lat trzydziestu kilku, wsławiony jeden Norwegczyk zaprowadził w swoim kraju chodowanie ogrodów. Do dziś dnia w Kopenhadze targowiska roślinne zaopatrzają Holendrzy od wieku XVItego w Danii osiedli. Ta mała, wśród wielkiéj stolicy osada, wystawia szczególny widok obcego ludu, który od trzech wieków zachował obyczaje, język i starożytny ubior swojéj ojczyzny.

Rolnictwo proste i większa onego wartość, zaszczepiły w mieszkańcach Pułnocy miłość porządku, która szczególną wykazuje sporność z południowemi narody. U Szwajcara niemieckiego wszystko jest w porządku: studnia ochędóżna, obory dobrze urządzone, parkany starannie utrzymane, drzewa oczyszczone; drwa porąbane ułożone w porządku około domu, wewnątrz największa czystość i wygoda. Ten sam porządek przenosi się do zarządu całéj rodziny, a nawet wioski. Ztąd wypływają nałogi, które są zarodem dobrych obyczajów.

W Europie południowéj, rolnicy nie są niewolnikami czasu. W *Hyères* słyszałem w miesiącu Lutym praczki, nad strumieniem pod oknami płynącym, przez całą noc swoją robotą zajęte. Wszelkie roboty, tak się mogą odbywać we dnie jak w nocy. Zwyczaj wychodzenia z domu, (największéj jeżeli spanie wyłączymy,) wytępia wszelkie skłonności do życia regularnego. Ztąd wypływa, iż dom nie jest nawet ojczyzną mieszkańca, gdy przeciwnie dla Pułnocnika, dom jest prawie skorupą ślimaka, bez któréj żyćby niezdołał.

Na Południu mieszkańcy zajęci są zawsze za domem; ztąd zwyczaj jedzenia mało i źle, bo dla apetytu zaostrzonego dobrém powietrzem i głodem, wszystko dobre się zdaje. Ztąd dla mieszkańca jest kuchnia na drzewie, w winnicy i w polu. Cebula, rożenek, figa, lub główka czosnku wystarczy Hiszpanowi, że żyć i bić się może.

Okrywać się i ogrzewać taką jest na Pułnocy potrzebą; jak samo jedzenie. Mieszkaniec Południa prawie od tego jest wolny, słońce same może go odziać i ogrzać.

Porównywając w ogóle rolnictwo południowe z pułnocném, znajdziemy je na Pułnocy *następném*, to jest uprawę obliczoną na skutek następstwa roślin, chodowanych jedne po drugich. Na Południu przeciwnie, uwaga zwraca się głównie na chodowanie spółczesne obliczone na skutek, jaki rośliny, jedna na drugą przez sąsiedztwo wywierają.

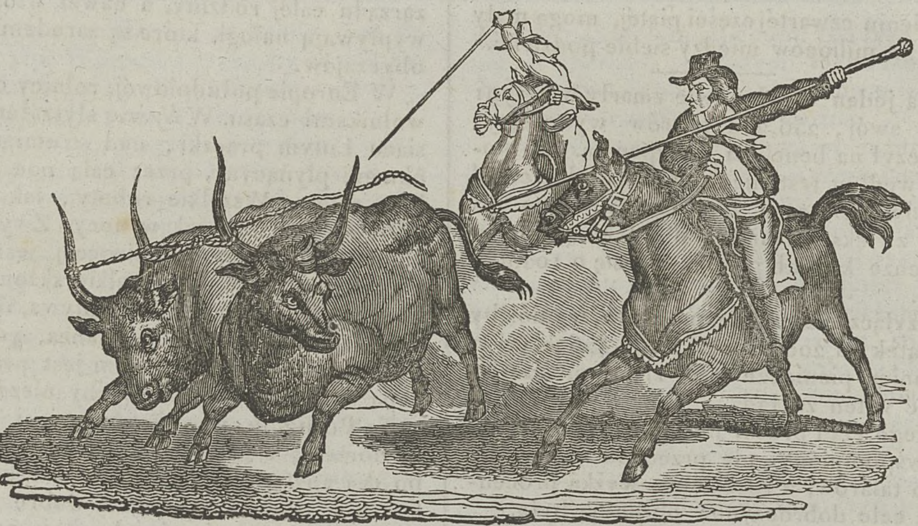
Na Południu klimat i bogactwo gruntu dozwala więcéj wyboru uprawy, niż na Pułnocy; gdzie ziemia wyłącza wielką liczbę roślin użytecznych. Południowiec obfituje nie tylko w rozmaitsze rośliny, ale nadto wiele czasu gruntowi poświęcać może, gdy przeciwnie Pułnocnik przez zimę w domu zamknięty, cierpi ubóstwo na czasie do pracy.

Wielka część zwyczajów narodowych ma źródło w rolnictwie. I tak: rolnictwo pułnocne zostawując wiele czasu człowiekowi w domu zamkniętemu, sprzyja dumaniom o rzeczach oderwanych i wzniosłych; gdy na Południu ciągle obecne słońce, prace nie przerwane i zawsze czuwające uczucia, wyrywają myśl z głębi duszy mieszcząc ją w zmysłach zewnętrznych.

DZIKIE WOŁY W MAREMME.

Dzieła geograficzne nazywają *Maremme* te strony Wielkiego Księstwa Toskańskiego, które przytykają do morza Śródziemnego, ale w istocie do tego nazwiska należą także i Pola Rzymu.

Przez puł roku ta obszerna przestrzeń ziemi przymorskiéj, pięćdziesiąt mil długa, opusz-



(Dzikie Woły w Maremme.)

czona jest wczasie okropnéj klęski zwanéj *mal aria*. Podróżni którzy ją w tym czasie przebywali, widzieli tylko opuszczone równiny. Wielkie pola, które po kilka lat zostawione są odłogiem, zdawały im się stepami, a jeżeli gdzie niegdzie spotkali pasterzy, ci okazywali głębokie ślady wpływu szkodliwego klimatu.

Jednakże *Maremme* żywi połowę Włoch i ziemia jego bardzo jest płodna. Podczas gdy febry ustają, wszystko pośpiesza korzystać z urodzajności gruntu.—Wtedy mówi Pan Didier, pługi mające po dwa, trzy i cztéry par wołów dzikich, uprawiają pole na milę i więcéj. Jaki siew takie żniwo; pola saturnowe tak obrobione, są wdzięczne i płodne. W czasie zbiorów, chmury z gór się spuszczających żniwaków zapełniają te pola, a ta cisza samotna, zaludnioną się staje jakby przez czary. Jest to osobliwość miejsc żyznych, że na nich wszystko staje się nagle i odrazu, tak, że nawet przejścia stopniowego dostrzedz nie można, rano rozległe ugorzyska, w wieczór pole uprawne, dziś ziemia złota kłosami, jutro suche zrzysko.

W lecie gdy właściciele po żniwie między góry się skryją, pasterze unikając chorób panujących w otwartém polu, chronią się do lasów, gdzie łatwiéj unikają śmierci. Tam przebywają i zbrodniarze, którzy unikając miecza sprawiedliwości, powierzają się zabójczemu powietrzu; i od właścicielów w sąsiedztwie, różne przyjmują obowiązki.

Maremme toskańska i Pola rzymskie, najwięcéj żywią bawołów, które zachowują swą dzikość, żyją przecież gromadnie. Fizyognomia tych zwierząt, długość ich rogów, ogromna postać, szybkość w biegu, i cała dzika postawa, wystawują szczególną sprzeczność z porządkiem, jaki w ich stadach panuje; tu się okazuje wysoki stopień władzy rozumu nad siłą zwierzęcą. « W rolnictwie tych okolic mówi P. Didier, szczególną po żniwie uderza okazałością zarząd bydła tamecznego. Jak żniwiarz tak pasterze nie są tu zamieszkali; w czasie zimy z gór się spuszczając, wracają do nich na wiosnę wraz z trzodą. Pasterz pan pustyni, przechodzi się po swojém państwie. Konno z dzidą w ręku, bacznėm okiem przegląda przestrzeń bez granic i nic nie ujdzie jego czujności. Biada nie posłusznemu wołowi i krnąbrnym stadnikom niepokojącym stadninę! wnet ostre żelazo zbroczy się ich krwią wzburzoną, wracają na swoje miejsca i zwierze zwycięzone poznaje w człowieku pana i znosi jarzmo w milczeniu. »

Rycina na początku tego artykułu wyobraża dwa bawoły zbiegłe, które pasterze napędzają; następująca zaś okazuje cztéry z nich w jarzmie pędzone do miasta.



Możeby należało przyjąć w innych krajach ten sposób pędzenia wołów, które często z niebezpieczeństwem wolno przebiegają ulice. Mimo powolności zwyczajnych wołów, wiele

jednak bywa ztąd smutnych wypadków. W Paryżu zdarzyło się iż wół zbłąkany wpadł do magazynu zwierciadeł, a sądząc że jest między swém stadem, chciał się przedrzéć przez każde zwierciadło. Tak wszystkie lustra potłukł, a że rogi jego sto razy odbijały się we szkłach, zdawało się, że kilkadziesiąt wołów wpadło do magazynu.

Chociaż bawoły włoskie mają postać okropną, nie dają przecież nawet wyobrażenia o tych, które są w Indyach Wschodnich i w lasach Bengalskich.

Te najgorsze są gdy się starzeją, bo wtedy szukają samotności, i biada temu, kto im przerywa ich wczasy; pieszo trudno im uciec, a nawet konno, jeżeli grunt jest błotnisty.

Stare samce mają do sześciu stóp wysokości, a myśliwi jak tygrysów ich unikają. Nie można się im bronić; chyba karabinem przeciw tygrysom używanym, i to potrzeba je trafić w piersi, albo w łopatkę. Widziano iż stary bawoł wściekły z rany, rzucił się na słonia, na którym siedzi myśliwy, ale nieszczęśliwie, jak mówi podróżny, który na to patrzał, gdyż słoń w jednéj chwili zaryczawszy okropnie, powalił go o ziemię.

(Późniéj umieszczoną będzie wiadomość o Żubrach na Litwie.)



ŁOWIENIE PTAKÓW NA WYSPIE SHETLAND.

Powyższa rycina wyobraża łowienie ptaków na wyspie Shetland. Niebezpieczeństwa, na jakie mieszkańcy téj wyspy narażać się zwykli, zdawaćby się mogły w opowiadaniu zmyśleniem, gdyby ta wyspa nie była tylko o kilka mil od brzegów Szkocyi. Ci odważni wyspiarze nawykli do braku wszelkich potrzeb, wprawiani od młodości do tych niebezpiecznych łowów, czują niejako rozkosz w samém narażaniu się na śmierć. Podróżny przypatrując się wtedy ich odwadze, ledwie śmie okiem za niémi się puszczać.

Groźne skały wznoszące się na brzegach urwistych wyspy Shetland, są mnóstwa ptaków siedliskiem, które tu zakładają gniazda w szczelinach bardzo nad powierzchnią morza wzniesionych. Tu wyspiarze przychodzą szukać jaj i młodych piskląt, albo wspinając się po skale, albo spuszczając się ze szczytu wiszących brzegów.

W tym ostatnim razie, jeden z nich przywięzuje się do powroza, którym się okręca, i siada na kiju w poprzek do powroza przymocowanym. Towarzysze jego, na brzegu stojąc, popuszczają zwolna postronek, który się przesuwa na sporym kawałku drzewa umieszczonego w tym celu na skałach, ażeby postronek gwałtownie o ściany ostre się nie potrącał. Drugi mniejszy postronek, którym się opasuje myśliwy, służy do ostrzeżenia towarzyszów, iż chce miejsce odmienić. Opierając się nogami o skałę, rzuca się naprzód i z zi-

mną krwią gniazda ukryte wyszukuje. Postrzegłszy je, dosięga do skał, a mogąc na nich stanąć, pozbywa się postronka, dostaje się do szpar i zbiera swój łup, przyczepiając go do pasa. Czasem postrzegając ptaki koło gniazd latające, rzuca się znowu trzymając w ręku kij z siecią, od której rządko się zdobycz wybiega.

Tak kołysząc się w powietrzu na sznurze, czasem sto sążni długim, naraża się na niebezpieczeństwo, nie tylko rozderzenia się o skałę, gdy za ptakami się rzuca, ale nawet na ciężkie odłamy skał, które przez tarcie postronka odrywane, koło niego spadają. Aby się od tychże zasłonić, Shetlandczyk osłania głowę czapką dużą i mocno wysłaną, która jednak często nie zdoła zabezpieczyć go przed uderzeniem brył dużych z wysoka lecących. Wspinanie się na skały, równie jest niebezpieczne; Myśliwi przybywają na statku, aż do podnóża skały. Najskorszy opasuje się sznurem, a uzbrojony długą żerdzią z żelaznym hakiem na końcu, wspina się na skałę, z razu przy pomocy swych towarzyszów. Zatrzymuje się w miejscu, gdzie może stanąć bezpiecznie, a podając jednemu z myśliwców postronek, którym jest opasany, do siebie go wyciąga. Inni dostają się kolejno tymże sposobem. Tak postępują wyżéj jeden przy drugim, każdy opatrzony postronkiem i żerdzią, aż dójdą miejsca, gdzie ptaki się gnieżdżą. Czasem, gdy postrzegą gniazdo umieszczone pod sobą, jeden z nich spuszcza się na postronku, którego drugim końcem, towarzysz jest opasany. Ten często albo się o skałę pośliznie, albo pociągnięty zostaje przez tego, który się na jego postronku spuszcza, i tak obadwa o skałę zgruchotani bywają.

Statek na którym przybyli, wciągają za sobą, i do niego rzucają z góry swoje zdobycze.

Na tych wyprawach przebywają często po całym tygodniu. W nocy zasypiają najspokojniéj na pierwszych lepszych rozpadlinach.

Ptaki zasalają na zimę, a pióra wywożą na przedaż.

Czasem dla przeprawienia się ze skały na skałę, Shetlandczyk używa pewnego rodzaju statku, toczącego się na linach, jak widać na rysunku.

OSZCZĘDNOŚĆ CZASU W ANGLII.

Anglicy więcéj jeszcze oszczędzają czas, niżeli pieniądze. Na każdy zrok stawią się na czas bez najmniéjszego zawodu. Dwaj anglicy umawiając się o zejście na jaką czynność, albo zabawę, wyciągają zegarki, regulują je wzajem, i stawią się na umówioną minutę. Nawet mowa Anglików zdaje się czasu żałować, gdyż połowy syllab niedomawiają. Słusznie mówi, Wolter, iż tém połykaniem syllab codziennie dwie godzin więcéj nad Francuzów zyskują. Mało robią komplementów, bo szkoda czasu. List zakończają po prostu, bez długich oświadczeń, dla tego niepiszą się z najwyższém upoważeniem najuniżeńszemi sługami. Słowa ich jednosyllabne, wylatują jak kule, i zdają się być skoro-mową, tak jak mamy skoro-pisów. Mało nawet mówią, z uszanowania dla czasu. Niema więc dziwu że naród, który tyle czas ceni, najlepsze robi czasomiary (chronometry), i że w nim, nawet ubodzy, zegarki noszą. Konduktorowie wozów pocztowych mają zegarki 80 funtów sterlingów wartujące, bo o pięć minut spóźnić się nie mogą. Przyjaciele i krewni, czekają o pewnym kwadransie przybywających. Nie tylko jadący, ale i piesi po tretoarach, trzymają się najściśléj przepisu, aby w spotykaniu każdy kierował się na prawą swą stronę, przez co unikają zderzeń, postanków, albo ambarasownego wahania w prawo i w lewo gdy chcemy przejść, lub kogo przepuścić. W machinie tak skomplikowanéj, jak Anglia, jest koniecznością, ażeby wszystko punktualnie się działo; nieład w czasie, mógłby zrządzić upadek.

PRAWA DAWNE.

U dawnych Assyryjczyków było prawo, według którego zbierano co rok na placu publicznym dziewice żeniebne, gdzie piękne przedawano, a zapłatę za nie oddawano tym, którzy się z brzydkiemi żenili.

To prawo nazywa Herodot mądrém, i wszyscy dotąd je wielbią. Mogło ono miéć niejakie polityczne korzyści, ale wpływ onego był nie moralny i szkodliwy w najwyższym stopniu. One niszczyło naturalne prawo kobiety, obalało pierwszą podstawę cywilizacyi: potrzebę podobania się przez przymioty moralne; truło życie domowe, tak kobiety nie ładnéj, jak męża, który zaślubiał towarzyszkę lepiéj przez ludzi, niżeli przez naturę wyposażoną.

MYŚLI.

Cierpliwość zdaje się być córką i matką nadziei.

Nie masz smutniéjszego zawodu, jak wiara w szlachetne czucie oszukana.

Brylant na palcu ubogiego uważany jest za fałszywy, a kamień fałszywy na palcu bogatego, zawsze za prawdziwy brylant uchodzi. Tak i o ludziach sądzimy.

Skąpcy są wspaniali ludzie. Zbierają skarby dla tych, którzy śmierci im życzą.

FABRYKI TKACKIE W ANGLII.

Liczba fabryk tkackich w połączonych królestwach Wielkiéj Brytanii, parą, lub wodą poruszanych, wynosi 58,000, a każda z nich wyrabia dziennie, przynajmniéj 22 łokci kwadratowych. Wszystkie zatém wyrabiają codziennie 1,254,000 łokci, albo 1741 na minutę, 7,524,000 na tydzień, 31,300,000 na miesiąc, a 376,200,000 rocznie. Rachując, że każdy człowiek zużywa rocznie 6 łokci, tedy powyższemi wyrobami można by na rok okryć 62,700,000 ludzi. Daléj temiż 376,200,000 łokciami, możnaby okryć przestrzeń ziemi mającą akrów 62,700, a umieściwszy jeden łokieć przy drugim, wtedy nakryłaby się długość 213,750 mil angielskich, któraby 71 razy wynosiła szerokość morza Atlantyckiego.

LAMPA OSTRYGI.

De Lavage dostrzegł przy otwarciu ostrygi (zapewne w ciemności) światło niebieskawe, podobne do gwiazdy, blizko środka skorupy, które się po dalszém śledzeniu fosforem być okazało. Gdy je ze skorupy wydobył, rozszerzyło się na pół cala, a zanurzone w wodzie miało pod każdym względem, pozór kunsztownie sporządzonego fosforu. Ostryga w któréj to było zjawisko, była żywą i czerstwą, zatém nie mogło być skutkiem psucia się zwierzątka ani skorupy, ale z innego musiało pochodzić źródła.

Po bliższém rozpoznaniu téj materyi fosforycznéj, za pomocą dobrego mikroskopu, okazało się, iż ta złożona jest z rozmaitych żyjątek (animalcula) wspaniale błyszczących, podobnych w miniaturze do robaczków Świętojańskich, które gwiaździste swoje lampki wokoło noszą, oświecając ciemne, samotne mieszkanie ostrygi; a może jak lampy Armidy jest ich przeznaczeniem do jéj mieszkania, takich mieszkańców morza przynęcać którzy dla jéj rozrywki w samotności są potrzebni. (*gentlemans Magazin*).

T A K T.

Nie małą to jest pochwałą, gdy o kim mówimy iż ma dobry takt w obejściu się z ludźmi. Takowy takt, możnaby policzyć do głównych cnót towarzyskich. Na nim polega harmonia życia społecznego. Od niego często szczęście nasze więcéj zawisło, niżeli od wielu innych cnót istotnych. « Każdy, mówi Byron, może być roztropnym, umiarkowanym, sprawiedliwym i stałym, ale jeżeli mu do tego zbywa na takcie, łatwo może stać się nie przyjemnym, a nawet szkodliwym dla innych, i słusznie spodziewać się może odwetu. Uważać można, że ludzie mający takt w najwyższym stopniu, najwięcéj mają czucia, a taktu nie mający, są zazwyczaj tępi i niedbali. Chcąc mieć ten przymiot, potrzeba czuć delikatnie; nie możemy wiedziéć co drugiego boli, jeżeli miary ku temu, w sobie samych nie znajdziem. »

Z tąd to tak często u nas delikatność w obejściu się, jest synonimicznym wyrazem taktu. Przez takt ludzie drażliwi, umieją się miarkować równie, jak ludzie surowych i gwałtownych obyczajów powściągać, i tak wzajem sobie ustępując, wzajem się znoszą, i zgadzają że tak powiem, na ton właściwy.

DŹWIGNIA ARCHIMEDESA.

Najtrudniéj wykorzenić błąd, który już raz popularnym się stanie, trudno wierzyć jak wtedy lud uporczywie przy nim obstaje. Największym dowodem, jaką ma wziętość powiastka, która ma szczęście być mylną, jest owa niedorzeczność powszechnie Archimedesowi przypisywana, iż miał powiedziéć: « Dajcie mi miejsce do oparcia dźwigni, a ziemię podniosę. » To powtarzają od wieków mówcy, poeci, i dziennikarze, i wszyscy dziwią się geniuszowi Archimedesa. Otóż: gdyby Archimedes znalazł podobne miejsce, punkt oporu i dźwignią, i gdyby się mógł poruszać z szybkością kuli armatniéj, i zrobić 480 mil w godzinie, potrzebowałby przecież lat 44,963,540,000,000, do podniesienia ziemi na jeden cal.

PRZYSŁOWIA.

Zdala słychać chorobę bogatego, a piwo ubogiego.

Kto ma żytko, ma wszystko.

Wystaw miód, będą muchy.

Bóg osuszy, co zmoczy.

Długi jest dzień bez chleba.

Człowiek na tém tylko chciałby przestać czego nie ma.

Nie zatrzymasz cienia na miéjscu, choć go piaskiem zasypiesz.

Dziecię za rękę, matkę za serce.

S Ł O W I K.

Zbyteczną byłoby rzeczą, dawać tu opis tego powszechnie znanego ptaka, który pieśnią swoją we dnie i w nocy ożywia wiosnę. Któżby słysząc go, nie chciał widziéć jego postaci? Zdaje się on być równie jak skowronek, dla rozrywki człowieka stworzonym. Jak tamten wszędzie z swym śpiewem unosi się nad podróżnym i nad oraczem, tak ten zamieszkuje zwykle ogrody i gaje, gdzie człowiek szuka wytchnienia. Obok skromnych powabów piórek, i prostoty swojego ubioru, dziwić się każe mocy, rozciągłości i giętkości swojego głosu, którego tony wnet smętne, wnet dziwacznie radośne, zawsze niespodziewanie następują po sobie.



(Słowik.)

Któż pojmie te długie jego skargi, te rozmowy i w nocy nieustające? Słowik śpiewa chociaż w klatce przez nielitościwych lubowników zamknięty, a nawet okrutnie pozbawiony światła, aby w niedoli swojéj nie miał żadnéj pociechy. W polu, przedmiotem śpiewów samca, jest bez wątpienia towarzyszka, siedząca w gęstym krzewie, ukrywająca swe gniazdo w zeschłych łodygach pod mchem, albo nawet pod bryłką ziemi.

Niektórzy wykładacze mowy zwierząt, zatrudniali się szczególniéj mową słowika; ale ich poszukiwania dotąd zaspokajać nie mogą. Łatwiéj może odgadnąć by im przyszło wyrazy pięgży, które są krótkie i bardzo dobitne.

Powszechnie mówią, że słowik szuka samotności, o czém tyle mamy poezyj. Jednakże nie masz go w wielkich lasach, i w górach sosnami okrytych; trzyma się krzewów, na pobrzeżach lasów, przy drogach, i od nich się nie oddala. Jest to ptak siedzący; nie naśladuje podobnych sobie gatunków, jak np. raszkę która często bardzo daleko wędruje. Jest wiele prowincyj w Europie, nawet we Francyi, gdzie słowiki tylko z imienia są znane.

Jeden dostrzegacz przekonał się, że głos słowika zajmuje puł ćwierci mili średnicy, gdy powietrze jest ciche. Naturalista niemiecki *Beckstein*, zajmował się szczególniéj wyrozumieniem jego mowy i literami naszemi dość wiernie ich brzmienia oznaczył, które tu zamieszczamy, nie śmiejąc jednak ręczyć, za wierność przekładu tego słowiczego języka.

Tsiuu, tsiuu, tsiuu, ts iuu,
Sfhe tiu tokua,
Tsio, tsio, tsio, tsio,
Koutsiu, koutsiu, koutsiu, koutsiu,
Tskuo, tskuo, tskuo,
Tsie, tsii, tsii, tsii, tsii, tsii, tsii, tsii, tsii, tsii,
Kuoror, tiu. Tskua pipitsuisi,
Tsò, tso, tso, tso, tso, tso, tso, tso, tso, tso, tso, tso, tsirhadnig,
Tsisi, si tosi, si si si si si si si
Tsorre, tsorre, tsorre, tsorrehi;
Dlo dlo dlo dlo dlo dlo dlo dlo dlo
Kouioo, trrrrrrric
Lu lu lu ly ly ly li li li li
Kujo didl li luulili
Ha guiur giuur koj kojo!
Kójo kouji, kouji, kououji kój kój kój kój
Ghi ghi ghi.
Gholl, gholl, gholl, gholl, ghia hedidoa
Kój kój, horr ha dzia dzia dillhi
Hets hets hets hets hets hets hets hets hets hets,
Tuarrho hostehoj
Kouja kouja, kouja, kouja, kouja, kouja, koujati,
Koui koui koui jo jo jo jo jo jo jo koui,
Lu lyle lolo di di jo kouja
Higuai, guai, guai, guai, guai, guai, guai, kójor, tsio tsiopi.

UCZONY Z KSIĄŻKI.

Nie znając wcale drogiéj księgi natury, żył samotnie jeden uczony w papierowym swym świecie. Karta znaków niebieskich ciekawszą mu była, niżeli niebo gwiazdziste; dla historyi naturalnéj zapomniał o naturze, teorye o sztukach tyle go zajmowały, że na sztuki wcale niepatrzył. Zdawało mu się że wie wszystko, co być powinno, nie wiedząc co jest.

Raz była mowa o śpiewie słowika. Każdy chwalił śpiewaków swego ogrodu, a jeden mówił iż się przekonał, że pieśni słowika dzielą się na dwadzieścia, do trzydziestu wrotek, i że je literami wypisać można. Aby zdziwionego szkolnika tém pewniéj o tém przekonać, dano mu dzieło Becksteina, tłumacząc mowę słowika. Uradowany wypisał sobie całą pieśń, ktorąśmy wyżéj umieścili. Ale przeciw nałogowi swojemu, nie przestał teraz na tém zbogaceniu książkowych swych wiadomości, postanowił więc po raz pierwszy, posłuchać głosu natury własnemi uszyma.

Wieczorem samotną ścieżką poszedł do ogrodów sąsiedzkich, i pierwszy raz w życiu słuchał z uwagą przenikającego śpiewu słowika. Ale z textem przed oczyma, uważał tylko czyli pieśń przepisaną, dosłownie śpiéwa. I słowik nie podobał się; nie dość elementarnie syllabizował, mieszał tryle, których wcale napisanych nie było. Podobnie nie uczynił zadość trzeci i czwarty słowik.

Jeden ze znajomych uczonego, żartowniś umiejący głos ptaków naśladować, przyszedł z innemi tajemnie za naszym mędrcem, a ukrywszy się za krzewy, z książką wspomnioną w ręku, odśpiewał text dosłownie. Uczony niezmiernie uradowany, winszował właścicielowi ogrodu, że ma arcyśpiewaka, koronę wszystkich słowików.

Na próżno w téj właśnie chwili słowik prawdziwy zanucił. — Nie śpiewał tak jak napisano.

WYDAWCY: Bossange père, Jan Glücksberg, Józef Kaczanowski, August Emanuel Glücksberg.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Rymarskiej N. 744.